N⁰ 41.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 29 Września (11 Października) 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Mamy dziś tedy mówić przedewszystkiém o dwoch humorystycznych tygodnikach tutejszych, t. j. o „Kuryerze Świątecznym" i o „Musze", wydawanych głównie kwoli drolatycznym pożądaniom publiczności warszawskiéj i prowincyonalnéj nawet. Ażeby osądzić wartość pism „humorystycznych", musimy przedewszystkiém porozumiéć się z czytelnikami co do istotnego znaczenia tego tytułu. Humorystyka w ogólném, dziś powszechnie przyjętém znaczeniu, ma wyobrażać wszystkie trzy symbole dobrego, wesołego usposobienia w człowieku, to jest: *humor, dowcip i koncept* — oczewistém jest przeto, że pismo „humorystyczne" musi albo wszystkie te trzy symbole i objawy wesołości zawiérać w sobie, lub téż chociażby jeden z nich urozmaicony w odcieniach. Lecz że pismo każde, chociażby najjaskrawsze nawet i najlżéjsze, już témsamém że jest lub ma pretensyą być organem publicznym i literacką, więc umysłową produkcyą, ma koniecznie obowiązek wyrażać jakąś myśl, objawiać dążność lub przynajmniéj obrać sobie jakąś drogę moralną, jeżeli chce odróżnić się od najpospolitszych spekulacyj, jeżeli nie chce być jedynie sklepikiem z towarami nagromadzonemi samopas, bez gustu i wartości — więc tedy oprócz saméj formy humorystycznéj, musi miéć lub przynajmniéj (jak się to częstoi niehumorystycznym pismom wydarza) udawać że ma jakiegoś ducha czy myśl, które w téj formie, choć tak leciuchnéj i wątłéj, obwija. Bo wreszcie dowcip rzeczywisty nie może być bez myśli—a nawet często zawiera w sobie głęboką nawet filozofią. Powiemy więcéj, dowcip prawdziwy, nie chwilowy ani oparty na wątłéj podpórce dwuznacznika lub też pustéj gry wyrazów — jest promieniem tegoż samego słońca, z którego pochodzi wszelkie najwyższe nawet natchnienie; jest on tak samo darem natury, jak każdy talent w człowieku — to téż dowcip taki, jak ognisko, rozrzuca z siebie iskry niespodziane, i często tak dobrze potrafi zelektryzować ludzi, jak potężne słowo, rzucone z górnych sfer poetyckiego ducha.

Jednakże o taki dowcip niesłychanie trudno. Mieli go Szekspir, Cervantes, Molier i Walter Skott; błyskał nim czasami geniusz Woltera, choć zwykle nieczystym blaskiem. W literaturze rossyjskiéj objawiali go często Sienkowski i Gogol — w naszéj świeci ona z dzieł Reja z Nagłowic, Krasickiego, Fredry i z ramotek Wilkońskiego.



Zabawa Gauczów w południowéj Ameryce. (str. 233).

Lecz i dowcip, jak każdy umysłowy produkt, objawia się w rozmaitéj formie u każdego narodu, w każdym prawie języku, jeśli tylko jest owym jędrnym, ziarnistym, prawdziwym dowcipem. U Anglika będzie on humorem, u Hiszpana satyrą, u Francuza sarkazmem lub abrewiacyą pamfletu okolicznościowego — u nas... bywa on najwięcéj konceptem i tak zwaną za dawnych czasów *facecyą*.

Niemało także wpływa na formę, w jakiéj się dowcip objawia, sam już charakter tego lub owego narodu. Z natury lekkie lub poważniejsze, głębiéj lub płyciéj, mniéj lub więcéj myślące rasy, muszą téż wszystkie swoje u m y s ł o w e produkcye w rozmaitéj a odpowiedniéj swemu charakterowi objawiać formie.

Czy pod to, tak wzniesione określenie humorystyki, dadzą się podciągnąć obadwa tak zwane humorystyczne tygodniki warszawskie? — wątpimy. Wszelako, zaprzeczając im wręcz nawet takiego aż znaczenia, musimy ocenić o ile one, w drobnym swoim zakresie, żywotności i rzeczywistego dowcipu okazują.

Jakkolwiek z pozoru pisemka humorystyczne, zwłaszcza tak drobnego jak „Świąteczny" i „Mucha" rozmiaru, zdają się nie miéć przed sobą żadnego ważniejszego zadania, lecz tylko wywoływać uśmiech wesołości na usta swoich czytelników, przecież w gruncie rzeczy tak nie jest. — Owszem, takie właśnie organa bożka Momusa mogą niemałe oddać społeczeństwu usługi, tak samo jak dowcipne satyry, wystawiane na scenie lub w ramach bajki zawarte. W lę-

ciuchnéj, swobodnéj i dowolnéj formie ich artykułów, mogą się ukrywać głębokie prawdy, a nawet każdy z nich może i powinien być opatrzony jakąś tendencyą społeczną, lub odtwarzać i wyszydzać pewne bijące w oczy śmieszności i wady ludzkie.—Powiemy nawet że pisemka takie są jedynemi organami, w których można wypowiadać ludziom gorzkie nawet prawdy, rozumie się obwinięte w lekką niewinnego żartu formę. Byleby ten żart był istotnie dowcipny i zręczny, nikt nawet nie ma prawa obrażać się, a przynajmniéj nikt z takiego prawa nie skorzysta, choćby mu przyszło, jak mówią Francuzi: *faire bonne mine à mauvais jeu.*

Przeglądając tedy obadwa humorystyczne pisma warszawskie, widzimy że „Kuryer Świąteczny“ stoi daleko wyżéj niż „Mucha“ wobec wyżéj określonych warunków. Nie jest on wprawdzie bez ale — a czasem nawet popełnia dość jałowe koncepta, gdy mu dobrych do zapełnienia szczupłych szpalt zabraknie — wszelako znaléźć tam można często bardzo zgrabną satyrę, zręcznie wyzyskaną okazyą, lub, jak to mówią, w locie pochwycone śmieszności miejscowéj produkcyi. Co większa, widać w tém pisemku szczery, dobry humor, i żart bez wysilonéj jadowitości rzucony—słowem w Kuryerze Świątecznym przeważa barwa i charakter miejscowego dowcipu, sympatycznego przez to i zrozumiałego dla wszystkich. Widocznie też redakcya Świątecznego posiada dobre już z natury instynkta, gdyż najczęściéj, zawsze prawie wyśmiewa lub chłoszcze takie wady lub sprawki które na ogólny śmiéch i ucinki zasługują — ztąd też satyrom i konceptom tego pisemka zwykle towarzyszy aprobata ogólna—rozumie się bez udziału stron bliżéj interesowanych.

„Mucha“, utworzona znacznie już późniéj, miała wprawdzie zaraz z początku utrudnione nieco zadanie. Występując albowiem jako nowy organ humorystyczny, poczuwała się do obowiązku okazać się odmienną od Świątecznego Kuryera, dowieść że nie jest jedynie spekulacyjną dublerką Świątecznego, ale organem samoistnym, mającym dość siły do utorowania sobie oddzielnéj drogi. Zdaje się jednak że w Warszawie, a raczéj pomiędzy literatami warszawskimi, niewielki kapitał czystego dowcipu znajduje się w zapasie — wszystek on pono w ustawicznym obiegu i dlatego Mucha, szczególniéj przez pierwsze miesiące swego istnienia, nie mogła w żaden sposób ani wpaść na ton zdecydowany i odpowiedni swojemu założeniu, jeśli jakie miała, ani zwerbować współpracowników istotnie wesołych i dowcipnych bez wysilenia. Nie mówimy iżby w tylu wyszłych dotąd numerach tego pisemka nie zdarzył się jakiś artykulik rzeźwiejszy lub fragment dowcipny — lecz w ogóle panuje tam ton polemiki, nieusprawiedliwionéj nawet humorystycznym pisma charakterem. Łacinnicy mówią że *propria laus sordet*—a u nas mówi się o żartach, że są niekiedy.... bezwonne. Otóż takich żartów, nie dość dezinfektowanych, spotykaliśmy dosyć, w początkowych zwłaszcza numerach „Muchy.“ Pochodziło to pewnie z błędnego pojmowania barwy i charakteru humorystyki. Dobry humorysta, umysł prawdziwie dowcipny, nie gniewa się nigdy—lecz żartuje, drwi lub wyśmiewa; żółć w piórze humorysty, a témbardziéj impertynencya gniewna, dowodzą tylko jego nieudolności, boć wszakże tylko u ludzi prostych żarty kończą się wymyślaniem lub kułakami. Zdaje się jednak, że w ostatnich czasach żywioł żółciowo-gniewny osłabł w szpaltach Muchy, która z czasem coraz bardziéj zrozumie pewnie, że już samą swoją tytułową nazwą zobowiązana jest do lekkości... w któréj już z natury rzeczy coś wytwornego mieścić się powinno.

Na początku bieżącego roku ukazała się jeszcze jedna publikacya z humorystyczną tendencyą, która obecnie zamieniła się dopiéro w stałe dwutygodniowe pismo. Mówimy tu o Kolcach, które następnie dwa razy zmieniły swój tytuł (Ostroga i Kosa), chociaż zawsze miały ten sam charakter i pod tąż samą wychodziły redakcyą. „Kolce“ zjawiły się w pomyślnych dla siebie warunkach, gdyż redakcya ich zrozumiała że nowemu humorystycznemu organowi potrzeba koniecznie odmienną całkiem pójść drogą i dlatego weszła na tor humorystyki głębszéj, takiéj jaka występuje w artystycznéj a nawet i w poetycznéj formie. Rozumie się że w takich ekstraordynaryjnych wypadkach zamiast żartu używa ironii, a sarkazmem dowcip zastępuje. I w saméj rzeczy „Kolce“, wsparte piórami kilku istotnie zdolnych literatów, zamieściły wierszem i prozą wiele dobrych a kilka nawet wybornych artykułów satyrycznych (do takich należy wielce dowcipna „Mowa Jowisza dziennikarskiego, miana na ogólnéj uczcie wszystkich pism peryodycznych warszawskich“, zamieszczona w zeszycie II, a stenografowana przez pp. Iskrę i Trzcionkę), słowem pismo to odpowiedziałoby było całkiem swojemu zadaniu i usprawiedliwiło zupełnie żywe zajęcie, jakie obudziło w publiczności, gdyby umiało się pohamować od gniewnych i trywialnych wystąpień przeciwko indywiduom nienawistnym sobie. Raz już powiedzieliśmy co rozumiemy o humoryście, który się gniewa i miota — powtarzać tego nie będziemy, mniemając, że redakcya „Kolców“ obecnie, gdy to pismo wchodzi w fazę trwałego peryodycznego istnienia, postara się wywiać z jego rubryk wszelkie zbyt ostro raniące, a raczéj tylko zbyt gniewnie wbijane w pięty indywiduów ciernie, koląc za to wszystkiemi siłami ogólniejsze wady i śmieszności, których jéj przecie nie zabraknie w Warszawie, choćby tylko w kole samychże piszących literatów i artystów i w ogóle *znakomitości* wszelkiego rodzaju, przeważnie zaś — „nijakiego.“

W każdym razie wydawnictwo rozpoczęte dwoma zeszytami „Kolców,“ potém przegrodzone dwoma pojedyńczemi zeszytami „Ostrogi“ i „Kosy“ a które obecnie, jako upoważnione do peryodycznego wychodzenia, powróciło do pierwotnego „Kolców“ tytułu — widocznie postępuje co raz wyraźniéj na oznaczonéj sobie drodze, a co ważniejsza, widać że tę drogę „istotnie“ sobie wytknęło. Szczególnie też w zeszycie zatytułowanym „Kosą“ spotkaliśmy dwa skrajne artykuły: „Kilka słów do naszych najserdeczniejszych“ i „List otwarty nieliteracki do pp. literatów“, w których ta droga dla pisma a nawet poniekąd i idea przewodnia dla całego u nas ruchu umysłowego, nie tylko że wskazana, ale nadto jeszcze oświetlona blaskiem prawdziwego zapału, choć w ironicznéj wyrażonego formie. W pierwszym z tych artykułów więcéj jest śmiałości w wypowiadaniu verba veritatis i zanadto może goryczy; w drugim zaś czuć, obok żartu, przekonanie głębokie i rzeczywiste, miłość dla całego umysłowego u nas ruchu. W pierwszym podniesiona ręka na powagi lub zaspałości literackie i dziennikarskie — nie popełnia jednak literackiego świętokradztwa, bo się podnosi w obronie prawdy i z pogróżką za fałszywość powag i za napuszony indyferentyzm niektórych arystarchów dziennikarskich. W drugim podniesiona nadzwyczaj zręcznie i zacnie razem kwestya nieustanna u nas o czczéj po największéj części polemice literackiéj, pochodzącéj najczęściéj z osobistości jedynie — sformułowaną została tak jasno, mądrze i poczciwie zarazem, że pragnęlibyśmy szczérze, ażeby nie tylko w „Kolcach“ lecz i w całéj literaturze naszéj pisywali jak najczęściéj tacy nie-literaci. Utworami poezyi, zarówno Kolce jak Ostrogę i Kosę, zasilał jeszcze p. Bogumił Aspis.

Reasumując teraz to wszystko, co powiedzieliśmy o „Kolcach“ wyrazimy przekonanie, że jeśli pismo to, (bo już jest pismem peryodycznem obecnie), a zdoła i nadal utrzymać w kole swoich współpracowników też same pióra które je dotąd wspiérały, a odrzuciwszy gniewliwe na indywidua napady — ścigać będzie żądłem szyderstwa, jadem ironii i ostrzem sarkazmu ogólne wady społeczne — szczególniéj zaś trzy najwydatniejsze, a może i najszkodliwsze nawet, to jest indyferentyzm, samozwańczą znakomitość i namaszczoną, wiecznie śpiącą blagę — nietylko wróżymy temu pismu powodzenie, lecz mu go nawet z całego serca życzymy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOOZ ŚPIĄCY.

(Z Legendy Wieków)

W. HUGO.

Ludwikowi Jenikemu.
Tłumacz.

Legł Booz zbyt znużony, bo trud był niemały,
Dzień cały z łanów swoich zbiérał plony Boże —
Na miejscu zwykłém potém usłał sobie łoże —
A sypiał pośród stogów, co dokoła stały.

Miał żyta i pszenicy nieprzejrzane fale,
Bogacz, lecz ścieżką prawdy chadzać zwykł jedynie;
A wodę miał tak czystą, jak rosę, przy młynie,
A piekło w kuźni jego nie postało wcale.

Włos w brodzie miał, jak struga wody, srebrny, długi,
A kłosów swych nie liczył, jak ów skąpiec w trwodze,
Skoro kłosiarkę biédną dostrzegał przy drodze,
„Urońcie kłos umyślnie!“ wołał na swe sługi.

Wciąż prawy, Booz mijał kłamu szlak złowrogi,
W osłonę cnót był odzian i w śnieżyste szaty,
Na biédne z dłoni jego spływał zdrój bogaty;
A stogi jego stały, jak studnie u drogi.

Choć gospodarny, skrzętny, dobrocią był cały:
Czeladź miłował, krewne téż kochał głęboko,
Niewiast na nim śród młodzi spoczywało oko,
Bo młodzian bywa hoży, a starzec wspaniały.

Starzec, co już powraca tam, zkąd zszedł ku ziemi,
Wita wieczność niezmienną, żegna dzień, co zwodzi,
I gdy płomień wystrzela z oczu raźnéj młodzi,
Oko starca się pali blaski świetlanemi.

II.

Tak Booz spał w noc cichą, błogo w swoich gronie,
Przy stogach, które zwalisk zdala postać miały;
A obok, w cieniu usnął tłum żniwiarzy cały;
A działo się to w czasie, co w lat mroku tonie.

Izraela sędziowie wodzili na boje,
Ziemia, po któréj człowiek szedł z obawą srogą,
Patrząc na wyciśnięty ślad olbrzyma nogą,
Suszyła od potopu mokre łono swoje.

III.

Więc Booz, jako Jakub, jak Judyta owa,
Pod namiotem z gałęzi snem pokrzepiał siły,
Aż oto się podwoje niebios otworzyły,
I widzenie prorocze zesłał nań Jehowa.

A sen był taki: Oto Boozowi z łona
Dąb wyrasta olbrzymi pod niebios błękity,
Po nim zaś idzie rodu łańcuch nieprzebyty,
U dębu stóp król śpiéwa, a w górze Bóg kona.

I Booz głosem duszy pytał zdziwion w sobie:
Jak to więc? Mogęż wierzyć? Ze mnież to powstanie?
Liczba lat mych dziesiątków ośm dobiega, Panie,
A synów nie mam wcale, a małżonka w grobie.

Wszak dawno już ta, z którą losy tu mię zwarły,
Dla twojego, o Panie, łoże me rzuciła;
I dotąd nas jednoczy niewidoma siła:
Ona—na poły żywa, jam—nawpół umarły.

Ja, ród nowy mam wydać? Jakże to się stanie?
Ja, być ojcem rodziny? Mieć syny? Ja, stary?
Młodzieńcom jasną jutrznią płoną nieb filary,
Dzień z nocy, jak bohater z laurów wstaje, Panie.

Starzec jakoby drżąca brzoza w dni zimowe.
Jam wdowiec, jam samotny, w piersi zmrok już u mnie,
Dusza tęskna, zbolała, chyli się ku trumnie,
Jak jeleń, co ku wodzie w upał schyla głowę."

Tak mówił Booz senny w zachwytu zapale,
Tonąc w niebiosach oczy od snu wilgotnemi;
Cedr nie wié, że doń róża wspina się od ziemi,
Booz nie czuł niewiasty u stóp swoich wcale.

IV.

Bo gdy spał, Ruth, niewiasta z Moabitek grona,
U stóp Booza legła z białem jak śnieg łonem,
Czekając, aż z świtaniem ze snu rozbudzonem
Dla niéj zabłyśnie jawa—jaka?... Niezgadniona.

Więc Booz nic nie wiedział o kobiecie, ona,
Czego Bóg żądał od niéj, nie wiedziała iście,
A świeżą woń w świat lały asphodelów kiście,
I nad Galgalą wiała skrzydłem noc zwieszona.

A noc godowa była od dołu do szczytu,
Anieli ponad ziemią zapewne latali,
Bo widziano raz po raz w nocy srebrnéj fali
Cóś, niby migające skrzydła ich z błękitu.

I z oddechem Booza we śnie się zlewały
Potoku szmery, który szeptał hymn swój cichy,
A był to miesiąc, w którym hojna na przepychy
Natura splata górom wieniec z lilij biały.

Booz spał, Ruth marzyła. Na falistéj łące
Trzód chmary z grzechotkami snuły się powoli,
I miłość nieba drżała w światła aureoli,
Ku rzece zaś schodziły górskie lwy milczące.

I w Ur i w Jerymadeth we śnie ludność cała,
Gwiazd roje stropy niebios w haft utkały złoty,
I nów wąziutki, skrzący, srebrzył kwiatów sploty,
Przystawszy na zachodzie,—a Ruth się pytała,

Nieruchoma, utkwiwszy wzrok w niebieskie tonie:
Jaki Bóg, żniwiarz lata, Pan wiecznego mienia,
Odchodząc, ten sierp srebrny rzucił od niechcenia
Na łanie, gdzie miast kłosów siew gwiaździsty płonie?

. . . .

Klemens Podwysocki.

ZABAWA GAUCZÓW W POŁUDNIOWÉJ AMERYCE.

Gaucze, jedno z półoświeconych pokoleń Ameryki południowéj, posiadają przeważną namiętność do zabaw i sztuk akrobotycznych z końmi. Rycina przedstawiona na str. 321 daje nam właśnie wyobrażenie jednéj z takich zabaw.

W miejsce opalisadowane na znaczną dość przestrzeń kołami powbijanemi w ziemię, napędzają dzikiego i wcale jeszcze nieujeżdżonego konia. U drugiego końca takiéj kolastéj alei, Gaucz stojący na dwóch słupkach, jak to tam widzimy, wskakuje nagle na grzbiet koniowi i wydostawszy się z nim razem na pełną swobodę, pędzi tak mil kilka bez celu, aż dopóki zmęczone utrudzeniem zwierzę samo piérwsze pokory i uległości nie okaże.

OKRĘT ŚRÓD BURZY.

Rycina na str. 325 przedstawiona, daje nam obraz miotającego się z wzburzonemi falami na pełnem morzu, okrętu.

Pomimowoli nasuwa się nam na myśl sonet nieśmiertelnego Adama, stanowiący jeden z najpiękniejszych jego utworów:

„Zdarto żagle — ster prysnął".. i t. d.—bo znacie go wszyscy zapewne.

POCZTA WIEJSKA W DANII.

Duńczycy są znani z wielu bardzo praktycznych instytucyj, któreby warto u innych także narodów wprowadzić w użycie i zastosować. Do takich należy bezwątpienia wyobrażona w rycinie na str. 328 *poczta wołowa*, przeznaczona do zabiérania listów i posyłek z miasta i rozwożenie ich następnie po wsiach okolicznych w przeznaczonych na to, dla każdéj wsi odpowiednich, godzinach.

Woły w prawdzie nie—pegazy i wiozą nieraz zbyt wolno nowinę, do którejby sercu się chciało na ptasich skrzydłach dostać — ale za to też woły pewniéj ją doniosą, niż przeznaczani u nas najczęściéj do podobnéj misyi parobki, którzy upiwszy się na drodze, zdolni są wówczas zaledwie duszę własną donieść do domu.

KAWA

Kawa (Coffea arabica), rozrastająca się w krzew lub drzewko, uprawia się we wszystkich krajach podzwrotnikowych Azyi i Ameryki.

Liście jéj podługowate, ciemno zielone, połyskowne, podobne są nieco do wawrzynowych — kwiaty ma białe wonne, owoc przedstawia czerwoną jagodę objętości wiśni, zawiérającą dwa ziarnka płaskawe, zaklęsłe, pokryte niby pargaminową powłoczką.

Ojczyzną tego krzewu Abissynia; rozradza się on zwłaszcza w prowincyi Kaffa, ztąd téż, według etymologów, nazwę otrzymał. Kawa jest pospolitą w całéj środkowéj Afryce, aż do źródeł Nilu Białego. W piętnastym dopiéro wieku przeniesiona z Abissynii do Arabii, gdzie się wybornie przyjęła i rozpowszechniła.

Ziarnka kawy zawiérają rozmaite pierwiastki (*) pomiędzy temi Kofeinę (**) krystalizującą w cienkie igiełki jedwabiste, tudzież kwas kofeinowy, który w czasie lekkiego palenia kawy wydaje zapach dobrze znany każdéj gospodyni.

Cóż powiedzieć o samym płynie umiejętnie przyrządzonym? Zapachem przypomina on wonne pachnidła wschodu — pierwiastkami swemi wpływa na czynności mózgowe. Kawa zaiste zajmuje poczestne miejsce w rzędzie najużyteczniejszych roślin.

Wino upaja i ubezwładnia zmysły człowieka, kawa upaja także ale tylko jego inteligencyą, myśl do pracy pobudza. Przy użyciu jéj odbiéramy wrażenia żywsze, wyobraźnia nasza silniéj staje się podniecona, więcéj że tak powiemy twórczą.

Takie to wpływy wywiérają na nasz organizm drobne ziarnka rośliny, krzewiącéj się pod pałającém niebem Afryki.

Krzew skromny, wątły, prawie bezbarwny przynosi nam, synom bladych niebios, mieszkańcom mgły i ostrych mrozów północy, wspomnienia czarującéj przyrody zwrotnikowéj.

Użycie kawy wprowadziły do Europy ludy wschodnie,—w jakim czasie same poznały jéj szacowne własności, niewiadomo. Nie rozbiérając podań wątpliwych, to pewna że już w XVI wieku znajdujemy kawę cenioną niepospolicie, używaną powszechnie i prześladowaną przez wyznawców Mahometa. Lud zamiast śpieszyć do meczetów, oblegał sklepy w których sprzedawano kawę, to wywołało zakaz wzbraniający jéj używania jako napoju odurzającego, który do jednéj kategoryi z winem zaliczany być winien. Nieposłusznych przepisowi spotykały plagi.

Dzięki temu prześladowaniu, kawa, jak każdy *owoc zakazany*, wchodziła w coraz szérsze użycie; ludność rozkoszowała się płynem, za który czekała bastonada. Kawa rozpowszechniała się do tego stopnia, że w piérwszéj połowie XVII wieku w samym Kairze liczono do dwóch tysięcy kawiarni. Dziś w całym wschodzie kawa należy do potrzeb prawie koniecznych życia.

Za przykładem Azyi poszła Europa, do Włoszech wprowadzono kawę w r. 1645, do Londynu w r. 1652. Soliman, ambasador Porty przy dworze Ludwika XIV, ofiarował ją Paryżanom w r. 1669. W kilka lat potém Armeńczyk nazwiskiem Paskal założył w stolicy Francyi piérwszy sklep sprzedaży tego produktu—drugi po nim istniał przy ulicy Bussy, a następnie Mazaryniego.

Zakłady te jednak nie były wcale zachęcającemi dla amatorów Abissyńskiéj rośliny, dopiéro Sycylijczyk Prokop pierwszy założył gustowną kawiarnię przy ulicy Fossés - Saint - Germain na prost teatru Komedyi francuzkiéj.

Tu co wieczór zbiérali się autorzy dramatyczni, literaci, artyści, prowadząc żywe dysputy, których przedmiotem były odgrywane sztuki.

W to miejsce jednego wieczoru, powiada Maout, przybył Wolter przebrany za Armeńczyka z ogromną przyprawną brodą. Nazajutrz miała być przedstawioną w teatrze jedna z jego tragedyi. Niepoznany autor zasiadł pomiędzy arystarchami i zoilami, przysłuchując się z baczną uwagą dysputom panów krytyków. Przybył na szczęście dość wcześnie; przeciw niemu utworzył się prawdziwy spisek — upadek tragedyi był przygotowanym. Dyktowano wśród gwaru wiersze, które miały być na przedstawieniu wygwizdane. Wolter najspokojniéj notował je wraz z innemi. Spiskowcy życząc sobie sukcesu, poszli wreszcie używać miłego snu po dniu tak pożytecznie spędzonym. Wolter razem z innymi opuścił także kawiarnię Prokopa, ale zamiast udać się na spoczynek, pracował przez całą noc i zupełnie przerobił piąty akt sztuki, ten sam, na który tyle powstawano. Nazajutrz z rana rękopism był oddany, a w sześć godzin potém aktorzy wyuczyli się doskonale ról pozmienianych.

Kiedy wieczorem podniesiono zasłonę i akcya żywo prowadzona wywoływała oklaski, wygwizdacze napróżno wyczekujący wierszy potępionych, osłupieli, zmystyfikowani, zawiedzeni. Ustępy przez nich skrytykowane nie dały się wcale słyszéć w sali teatralnéj. Wolter tryumfował — nieprzyjaciele wyświadczyli mu prawdziwą przysługę.

Do XVIII wieku Europa otrzymywała kawę z Arabii — sprowadzana z Egiptu i Syryi była niezmiernie drogą. W tym to czasie przemyslni Holendrzy, zakupiwszy kawę w okolicach Mokki, przenieśli ją do swych kolonii w Surinam i Batawii, i tam uprawianą, zasilali targi Europejskie. Kilka téż krzewów téj rośliny wysłali do Amsterdamu; rozkwitły one i rozrodziły się w tamtejszym ogrodzie botanicznym. Jeden z tych krzewów ofiarowany Ludwikowi XIV, przeznaczono do ogrodu Botanicznego paryzkiego.

W r. 1720 trzy młode krzewy kawowe francuzkie powierzono kapitanowi Desclieux celem przewiezienia ich do Martyniki. Podróż trwała długo, na okręcie zabrakło wody; dwa krzewy uschły, ale trzeci został uratowany poświęceniem kapitana, który znosił mężnie pragnienie, aby pozostającą jeszcze małą ilością wody zasilić niknącą roślinę. Trzeci ten krzew przybył szczęśliwie do lądu i był praojcem plantacyi kawy w Antyllach.

W piérwszych latach rozpowszechniania się kawy we Francyi, lekarze protestowali przeciw jéj użyciu, wykazywali jéj wpływy zdrowiu szkodliwe, opinia ta wszakże uległa następnie pewnéj zmianie na korzyść krzewu. Fontenelle i Wolter, pomimo nadmiernego jéj używania, dożyli bardzo późnego wieku, ostatni wypijał podobno dziennie do 80 filiżanek. Z tego téż względu czyniono mu uwagi i ostrzeżenia.

— Kawa jest trucizną powolnie działającą, rzekł sentencyonalnie jeden z lekarzy do filozofa farneyskiego.

— W rzeczy saméj jest trucizną *bardzo powolną*, odparł z naciskiem złośliwy starzec, gdyż oto piję ją lat przeszło sześćdziesiąt i zdrów jestem, pomimo że liczę sobie osiemdziesiąty piąty rok życia.

Przyzwyczailiśmy nasz organizm do kawy, i dlatego mniéj nań działa, używana ze śmietanką jest bez wątpienia wybornym posiłkiem starców.

W. Niewiadomski.

(*) Według opinii niektórych chemików kawa, ma zawiérać miedź w takiéj ilości, że Europejczycy konsumujący jéj rocznie przeszło 250,000,000 funtów pol. spożywaliby w tym upływie czasu około 500 funtów miedzi.

(**) Kofeina znajduje się również w herbacie, ztąd zwana jest także *Teiną* od terminu łacińskiego téj rośliny *Thea chinensis*.

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(Dokończenie).

O czwartéj po południu udano się w dalszą drogę. Po przebyciu w bród Achsaja, miniono dwa auły, leżące z lewéj strony drogi, Ach-Saj i Jur-Tank. O wiorstę od ostatniego Salaza wpada do Achsaja, który w tém miejscu formuje wielki zakręt na północ i zachód. W środku tego obwodu wznosi się znaczna góra, na spadzie któréj leżą auły: Argar-jurt i Bellar-Gargansz. Do Argar-jurtu droga była jeszcze znośną, ale od téj wsi nie było więcéj żadnego jéj śladu; p. Piotrowski z przewodnikiem musieli jechać rzéką i tylko wieczorem opuścili jéj łożysko, wjechawszy do lasu, pokrywającego lewy brzeg rzéki.

O dziewiątéj postrzegli kilka światełek migających w odległości; był to auł Oniekski, w którym wkrótce stanęli. Główną ulicę napełniał tłum ludzi, szpieg bowiem jeden dał znać mieszkańcom, że Rossyanin w towarzystwie trzech górali zbliża się do aułu. Krzyki giaur! giaur! rozlegały się dokoła, przybiérając coraz groźniejszy charakter, nim naibom udało się lud przekonać, że misya lekarza jest całkiem pokojowa. Nakoniec zatrzy-

mano się przed domem, przeznaczonym na nocleg. Gospodarz wyszedł na spotkanie doktora i pomówiwszy z naibami, dał znak doktorowi żeby szedł za nim. Wprowadziwszy go do izby i wskazawszy na kąt, rzekł doń w dość brutalski sposób:— siądź tam; potém wyszedł, zamknął drzwi i zabrał klucz z sobą. Doktór postrzegł ze zdziwieniem, że w pokoju znajdowała się już kobiéta z dzieckiem lat czterech, młoda i piękna; siedziała przed kominem na którym palił się ogień. P. Piotrowski zostawał z nią z godzinę, lecz czy dlatego że nie umiała po rossyjsku, czyli też że jéj zabroniono było mówić, nie odpowiedziała mu na żadne z danych jéj pytań.

Po upływie godziny gospodarz wrócił z jednym z naibów i dawszy znak doktorowi żeby udał się za nimi, poprowadził go przez dziedziniec do ciemnego pokoju, w którym zbliżywszy się do kominka, na którym drwa już były przygotowane, zapalił ogień. Kiedy izba się oświetliła, doktór poznał że znajduje się w pokoju, w którymTatarzy przyjmują gości; w izbie stało łóżko na które doktór mocno znużony rzucił się i natychmiast usnął.

nazad; góra kończyła się pionową przepaścią na parę tysięcy stóp.

— Gdzież jest droga? zawołał przelękniony.

— Tam — odrzekł przewodnik, zawisłszy nad przepaścią, tak że połowa ciała jego bujała się w powietrzu, wskazując ścieżkę na dole wijącą się koło skały. Trudno było śledzić za nią okiem, bo w wielu miejscach ślad jéj nikł zupełnie. Nie było co i myśléć, żeby po téj drodze można było jechać konno, doktór zsiadł więc ze swojego, który zaczął spokojnie jeść trawę, i przyzwawszy na pomoc całą swoję odwagę, zaczął spuszczać się do przepaści. Przewodnik szedł naprzód, za nim doktór, a z tyłu naib. Żeby nie dostać zawrotu głowy, p. Piotrowski starał się patrzéć ciągle na górę, lecz mimowoli wzrok jego zwracał się na wązką ścieżkę, pełną ostrych kamyków, które co chwila usuwały się z pod nóg, spadając z głuchym łoskotem w bezdenną głębię, w któréj oko nie śmiało sledzić za niemi. Na całém tém zejściu, które trwało sześć godzin, nie było żadnego punktu oparcia, żadnego miejsca, na któremby można było usiąść i spocząć choć chwilkę. P. Pio-



OKRĘT ŚRÓD BURZY. (str. 323).

Obudziwszy się zrana, postrzegł jednego ze swoich naibów, rozmawiającego z drugim, nieznajomym mu naibem, o dwóch blaszkach, w których poznał ordery Szamila. Okazało się że nowoprzybyły rzeczywiście był przysłany przez imama i miał służyć p. Piotrowskiemu za przewodnika w ciągu dalszéj jego podróży. Nowy naib radził mu zdjąć mundur i włożyć ubiór czerkieski, który właśnie był mu przygotował. Po śniadaniu składającém się z herbaty, séra i placków tatarskich, o godzinie dziewiątéj przyprowadzono konie i przewodnika, ale i przewodnik i konie byli już nie ci co wczora.

Aż do wsi Amawi droga ciągnęła się nad brzegiem Achsaju; w Amawi zmieniono znów przewodnika, który był już pieszy. Z Amawi podróżni po półgodzinnéj jeździe stanęli na szczycie Gambetu, zostawując za sobą wielkie stada baranów i wołów. Z Gambetu widać było morze Kaspijskie i linią kaukazką aż do Georgiewska; Mozdok tylko leżał w tumanie. Góry piętrzyły się jedna nad drugą, podróżni musieli drapać się na każdą z nich, nim w końcu stanęli na najwyższym szczycie górnego łańcucha. Wtém miejscu p. Piotrowski mimowoli cofnął się o trzy kroki

trowski nie zauważył ani jednego krzaka, gdzieniegdzie rosły tylko białe i żółte kwiaty. Gdy zszedł na dół, pot lał się mu z twarzy, a nogi drżały jak trzcina kołysana wiatrem. Stanął był właśnie na miejscu które nazywa się *Bramą Andów*. Strona południowo-wschodnia góry i daléj jest pionową, a na szczycie jéj wznosi się gromada skał, którą żołnierze rossyjscy nazwali *Weselem szatańskiém*.

W lewo, o wiorstę od bramy Andyjskiéj, widać auły: Feliki, za nim Agatti, a jeszcze daléj Unch; domy w dwóch ostatnich zbudowane są z kamienia bez wapna. O pół wiorsty od Unchoskiego aułu leży wielka wieś Andy, od któréj pochodzi i nazwa przejścia, i przed którą droga jak wąż się wije. Nakoniec za Andami przewodnik pokazał doktorowi auł Sul-kadi, który był kresem podróży, i prawdziwie w porę, bo p. Piotrowski blizki zemdlenia, usiadł czyli raczéj upadł twarzą na ziemię. Po kilku chwilach powstał i poszedł daléj, ale nogi drżały mu ciągle jakiémś drżeniem konwulsyjném którego nie mógł powstrzymać.

WSul-kadi— miejscu pobytu Dżemal-Eddina, p. Piotrowski stanął późno w nocy. Domy w tym aule są kamienne o dwu

i trzech piętrach, licząc w to parter. Na dolném piętrze są stajnie i obory dla koni i bydła, na piérwszém mieszka właściciel, a górne wynajmują się. Pośrodku aułu wznosi się meczet. U drzwi mieszkania Dżemal-Eddina stał szyldwach, a gospodarz spał przed domem na ławie kamiennéj. Poprowadzono p. Piotrowskiego przez wązkie wschody na obszerny balkon, z którego były drzwi do pokoju Dżemal-Eddina. Właściciel domu obudzony przez naiba, wprowadził doktora do izby, w któréj paliła się tylko jedna świéca łojowa. Słabe światło padało na żelazne łóżko, na którém leżał Dżemal-Eddin, i na przygotowane na podłodze posłanie dla doktora. Dżemal-Eddin spał; gdy go obudzono, ucieszył się niezmiernie z przybycia doktora i prosił go, żeby przedewszystkiém wypoczął po trudach podróży. P. Piotrowski zadał mu kilka pytań o zdrowie, ale nie mogąc oprzéć się znużeniu, ustąpił naleganiom Dżemal-Eddina i udał się na spoczynek.

Pokój ten był prawie bez mebli, całą jego ozdobę składały: fuzya, rewolwer, szaszka oprawna w srébro i skrzynka od herbaty. Nazajutrz p. Piotrowski natychmiast zajął się chorym; jak przeczuwał, choroba była więcéj moralną niż fizyczną: odległość od miasta i brak rozrywek, właściwych młodemu wiekowi, zabijały Dżemal-Eddina. Prości i napół dzicy górale otaczający jego ojca, nie mogli mu zastąpić dawnych towarzyszy; Czerkieski i Kabardynki, chociaż uchodzą za najpiękniejsze kobiéty w świecie, nie mogły wyrugować z jego pamięci pięknych Rossyanek i nadobnych Polek, z nad brzegów Newy i Wisły; gasnął powoli, bo nic go do życia nie przywiązywało, a niż tak żyć, wolał umrzéć. I siły fizyczne znacznie już były zwątlone; Dżemal-Eddin nie wstawał nawet z łóżka. Lekarstwa medyków tatarskich, dawane w początkach choroby, zamiast powstrzymać jéj postęp, zwiększyły go tylko; zabawy mogły mu były przynieść ulgę, lecz te były mu wzbronione; żadnéj książki, żadnéj gazety, słowem nic dla umysłu; wszystko to bowiem dla czeczeńców, patrzących na każdą rzecz pochodzącą z Rossyi, jakby na jaką truciznę, wielkiém byłoby zgorszeniem.

P. Piotrowski przebył trzy dni u Dżemal-Eddina, w przeciągu których użył wszystkich środków, jakie tylko były w jego mocy, i rozstał się z nim z myślą, że usiłowania jego były daremne, a choroba śmiertelną. Przy pożegnaniu, chociaż nie miał żadnéj nadziei, zalecił jednak kontynuować dotychczasową kuracyą, i odjechał, uwożąc przekonanie że sam chory nie życzy sobie wyzdrowiéć. Żadna skarga nie wyszła z ust młodego człowieka, nikogo nie obwiniał w swojéj niedoli, ofiara była zrezygnowaną i poświęcenie kompletne.

P. Piotrowski rozstał się z Dżemal-Eddinem 17-go czerwca a na początku września otrzymano wiadomość o jego śmierci; — Szamil na to tylko odzyskał syna, żeby go po raz drugi stracić bezpowrotnie.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Czy tylko ma zdrowie dobre? — jest wysoki, powiadasz pani, to może skłonny do suchot?

— Skłonny do suchot! krzyknęła pani de Lonville, — trudno spotkać takie płuca jak jego. Każdy z Rennevillów — otoż wymknęło mi się nazwisko! — umiéra w późnym wieku; w całém pokoleniu nie znano ani pedogry, ani astmy, ani żadnéj choroby.

— Ale ubogi, — rzekła miss Glyn.

— No, tak, to prawda.

— Bardzo ubogi?

— Kochana pani, chcę być zupełnie otwartą. Sądzę że ma około czterech tysięcy franków rocznego dochodu.

— Sto sześćdziesiąt funtów, licząc po angielsku — a ileż zczasem odziedziczy?

— Coś tak około dwukroćstutysięcy franków.

— To jest szesnaście tysięcy funtów — licho! Nie, nie, to nie idzie.

Pani de Lonville spoglądała zakłopotana, zawód ją martwił.

— Ma stryja, — rzekła, — który mu coś zostawi.

— Ale ma i matkę, która będzie chciała z nim mieszkać, a ja na to nie mogę pozwolić.

— O, zapomniałam powiedziéć, że matka pozostałaby w zamku.

— A gdzież on będzie mieszkał w takim razie?—ostro zapytała miss Glyn.

— Z żoną.

— I u żony. Nie pani, to nie idzie. Moja siostrzenica nie będzie podtrzymywać próżniactwa hrabiego. Próżnujący mężowie nie są dobrymi mężami, a ja chcę żeby moja siostrzenica była szczęśliwą żoną. To więcéj znaczy niż tytuł hrabiny.

— A dlaczegóżby nie miała być szczęśliwą hrabiną? — dlaczegóżby hrabia miał próżnować? Jemuby czynne życie podobało się lepiéj, niż wszelkie inne, tylko do tego trzeba kapitału.

Kapitał był to konik, na którym miss Glyn jeździć lubiła. Pewna była że kapitałem można wszystko zrobić. Sama miała kapitał, ale była kobiétą. Myśl o posłusznym siostrzanie, któryby przyjął jéj pomysły i wykonywał je pod jéj kierunkiem, zabłysła jéj w głowie. Złagodniała nagle i rzekła.

— Chcę widziéć tego młodego człowieka.

— I pomówisz pani z panem Kennedy?

— Tego nie trzeba; naprzód sama muszę się upewnić. Późniéj przyjdzie pora i na pana Kennedy.

Pani de Lonville kiwnęła znacząco i rzekła szeptem:

— Będzie na balu pani Ronald.

Pożegnawszy panią de Lonville, miss Glyn kazała natychmiast zaprządz do karety i odwiedziła panią Ronald, która nieczekając zwierzeń panny Glyn, sama wystąpiła z propozycyą swatania Sybilli za hrabiego de Rennville. Szczegóły jakie o nim podała, zgadzały się zupełnie z opisem pani de Lonville. Ucieszyło to mocno pannę Glyn, która o tém nie wiedziała że je pani Ronald ma z tegoż samego źródła. Powróciła do domu mocno zajęta całą tą sprawą.

Ale miss Glyn była roztropną osobą. Postanowiła sobie że wprzód obejrzy owego młodego człowieka, oceni go, zbada o ile będzie łatwym w przedmiocie użycia kapitałów, a potém dopiéro wciągnie do interesu brata i z nim rzecz ułożywszy, zasięgnie zdania Sybilli.

ROZDZIAŁ XVI.

Nie podejrzewała wcale Sybilla pobudek czułości, jaką teraz dostrzegła w postępowaniu swéj ciotki. Od czasu do czasu przychodziło jéj na myśl pytanie, czy téż hrabia Andrzéj de Reneville będzie na balu pani Ronald; czasem zwracała wzrok zadumany na szare wieże zamku Rajmond; ale to były tylko przelotne chmurki na jasném niebie jéj myśli. Sybilla co innego miała w téj chwili w głowie. Mocno dotknięta była położeniem pewnéj biédnéj kobiéty, wydzierżawiającéj maleńką chatkę od pana Kennedego. Chatkę tę spruchniałą od wilgoci chciał Kennedy rozwalić i ofiarował dzierżawczyni lepszą za te same pieniądze. Ale Joanna zestarzała się w téj lepiance i rozkochała się w niéj miłością dzikiego zwierzęcia do swojéj nory. Nic nie pomagały argumenta, lamentowała dopóty, aż Sybilla, poruszona litością, podjęła się jéj sprawy i w końcu wygrała ją natręctwem.

— Nierozsądna jesteś, Sybillo,— rzekł Kennedy, — baba tam umrze od reumatyzmu — ale róbcie sobie jak chcecie — możesz iść i powiedzieć jéj żeby pozostała w swym zmurszałym zamku dopóki tylko jéj się podoba.

Ponieważ Blanka narzekała na ból głowy, wybrała się Sybilla sama z owém radosném poselstwem, ułożywszy się z swą przyjaciółką, że z powrotem czekać na nią będzie w miejscu gdzie kilkanaście sosen stało nad brzegiem morza.

— Spodziéwam się że aromat owych sosen uleczy mnie, czekaj tam na mnie.

Rzekłszy to, Blanka odprowadziła Sybillę aż do końca ogrodu i stanąwszy na kamiennych schodach, patrzyła na odchodzącą. Sybilla poszła wprost do kępy sosen; nagle przyszło jéj na myśl, że to jest najdłuższa droga i że daleko prędzéj stanie u celu, jeżeli pójdzie dołem około młyna. Wprawdzie nie lubiła téj części ojcowskiego majątku, i rzadko w tę stronę zwracała kroki, dla pośpiechu zawróciła jednak w tę stronę. Ponad strumieniem, poza miejscem gdzie rosła rzeżucha, był mały lasek, do którego wstręt miała.

Drzewa tam rosły gęsto i wysoko, w ich cieniu płynął czarny strumień; chłodny wiatr kołysał gałęzie, tu i owdzie z wilgotnego gruntu wyrastała paproć ciemnozielona. Głębokiéj ciszy nie przerywało nic, nawet świergot ptasząt. Może jaka Druidów kapłanka mieszkała tu w starożytności? — zaprawdę, miejsce to godne było obrządków ciemnéj i nielitościwéj religii.

— Może cofnąć się — myślała sobie przestraszona Sybilla, gdy nagle usłyszała kroki za sobą i głos znany. Obróciwszy się, ujrzała stryja Edwarda.

— O jakże się cieszę—rzekła—już czułam obawę.

— Obawę? Sybillo! to ładne miejsce. Ale jeżeli go tak nielubisz, cóż cię tu sprowadza?

— Ieę do Joanny.

— Tak daleko, sama? rzekł ze zdziwieniem i nieukontentowaniem.

— Blanka ma ból głowy, nie może więc iść ze mną, ale mamy się zejść pod sosnami. Zatém do widzenia, stryju.

— Zostań zemną kilka minut, Sybillo. Siadajmy na téj ławce. Dobrze?

— Dobrze, — rzekła Sybilla nieco zdziwiona.

Sądziła że ma jéj coś do powiedzenia, ale stryj patrzył tylko na nią, podparłszy podbródek dłonią. Po długiém milczeniu rzekł.

— Sybillo, powiédz mi czyś kiedykolwiek w życiu skłamała? Wiem że nie mam prawa stawiać takiego pytania, bo nawet ojciec spowiednik powinien słuchać a nie wypytywać, ale powiédz mi jednak.

— Dobrze, stryju, powiem ci, jestem bowiem pyszna, a to mnie upokorzy — skłamałam.

Stryj spojrzał na nią ze smutkiem.

— I ty, Sybillo, rzekł; to niedobrze.

— Tak, — odpowiedziała rumieniąc się Sybilla, — ale to mnie zmartwiło — a nawet, dodała ze skruchą — było tego dwa razy.

— Dwa razy?— wykrzyknął — ale to już pewno dość dawno?

— Już bardzo dawno.

— Dwa kłamstwa w życiu, ale trzeci raz już nie będzie? prawda?

— Spodziéwam się że nigdy, odpowiedziała żywo.

— Nigdy, Sybillo, — rzekł namiętnie. — Niech prawda będzie twojem bóstwem. Wszyscy jéj pragną, wszyscy ją uwielbiają, nawet najgorsze, najsamolubniejsze stworzenia. Któż bowiem chce być oszukanym, kto nie gardzi oszukaństwem, chociażby sam oszukiwał? Czy czytałaś kiedy Spencera? Ja czytałem, i przypomina mi się Una, moja druga miłość, najczystsza, najlepsza, jak każda druga miłość.

— A któż był piérwszą? zapytała Sybilla poważnie.

— Cinderella (*), słodka Cinderella, ale Una była godną uwielbienia. Tak rozmawiając, przypomina mi się jak przyszła do „cienistego ustronia", dość podobnego temu.

Jéj twarz anielska jak słońca oko,
Rozpromieniła ustroń cienistą.

— Chciałabym żeby tu była, — wesoło przerwała Sybilla — przydałby się tu promień słońca.

— Ona jest tutaj, Sybillo — widzę ją.

— Gdzie?

— Przed oczyma duszy.

Sybilla roześmiała się.

— Myślałam że mnie stryj ma na myśli.

— Myślałaś, mała figlarko! A nie skłamałaś dwa razy? To okropna rzecz, szczególnie w naszym świecie, gdzie dzielni mężczyźni nigdy się fałszem nie splamią, gdzie prawda mieszka na wargach młodych i pięknych kobiét.

— Jak w dziwny sposób mówisz, stryju — rzekła Sybilla.

— To miejsce takie, — rzekł wstając — masz słuszność, Sybillo. Wygląda ono niezdrowo i chorobliwe myśli poddaje. Pójdźmy gdzie słońce świeci.

Doszli do granicy lasu. Tam stryj Edward zatrzymał się, widocznie nie mając zamiaru iść daléj.

— Nie odprowadzisz mnie, stryju?

— Nie mogę. Biedna Uno, nie patrz tak nieukontentowana. Niewart jestem iść z tobą. Muszę wrócić do tego zdradzieckiego lasku i szukać tam mego losu. Może znajdę jaką rzadką perłę, — albo spotkam zielonego smoka, albo złapię Meluzynę, kąpiącą się w tych czarnych wodach.

— Stryju — rzekła żwawo Sybilla — jak dziwnie mówisz.

— Prawda, odpowiedział po chwili — ale są ukryte bóle w każdém życiu, które od czasu do czasu na wierzch wychodzą, a ja teraz właśnie po kolana brodzę w téj wodzie goryczy. Ciężko mi, Sybillo, strasznie ciężko.

Oczy mu zabłysły, przygryzł wargi. Stłumiona namiętność, niechęć i gorycz malowała się w jego spojrzeniu. Sybilla oparła się o jego ramię i zapytała poważnie:

— Stryju, nie możeż ci w czém pomódz?

— Ty! — zawołał i lica jego rozjaśniły się słodkim uśmiechem. Dziécię bezbronne, idące przez świat pełen wężów i zasadzek, chciałabyś być mnie pomocą, a ja tak mało mogę zrobić dla ciebie. Niedługo nasze ścieżki się rozejdą, a wiem, niestety, że świat ten, to nie boginiek kraina, wiem że ryczące lwy raczéj pożrą biédną Unę, niż lizać będą jéj stopy. Chciałbym być twoim ojcem; gdybym nim był, pewnoby cię nic złego nie dotknęło.

— Mój ojciec též tego niedopuści — rzekła Sybilla urażona.

— Jeżeli będzie o niém wiedział; ale jeżeli złe weźmie za dobre?

— Stryju, nie mów tak — krzywdzisz go.

Oczy jéj zabłysły, ale stryj roześmiał się i rzekł wesoło:

— Lubię cię tak, Sybillo, to mi daje ufność na przyszłość. Jesteś dzielna, drażliwa irlandzka dziewczyna, ale biada temu, kto cię skrzywdzi lub oszuka! Do widzenia, nagródź czas stracony, żeby twoja droga Blanka nie czekała długo.

Zawrócił do lasku, a Sybilla poszła ścieżką przez łąki, wielce oburzona ostatniemi słowami stryja, a szczególnie ich ironicznym tonem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

(*) Osoby z poematu Spencera.

NOWINY.

—Francya ma obecnie całą plejadę poetów wojny. Poezyą tę tchnącą krwią i językiem zbyt smutnych ofiar, uprawiają ze szczególną werwą pp. Alfons Lemerre, Katull Mendès, M. Bergérat i wielu innych. Krytyka wszakże krajowa zarzuca tym utworom brak téj siły wpływowéj, jaką się odznaczały poezye niemieckie tegoż rodzaju, po klęsce pod Jena.

—Na wystawę sztuk pięknych przybyły obrazy: p. Chełmińskiego „Zadymka," pani Emilii Majewskiéj „Chrystus wieńczący Matkę Najświętszą," Malinowskiego „Krajobrazy," Pilattego Henr „Popas", Gryglewskiego „Wnętrze kościoła w Wiedniu," Szwojnickiego „Polowanie na upatrzonego," Pilattego Ksawerego „Portret," Gundelacha Teodora „Portret hr. Steckiéj," tudzież medalion z gipsu Abramowicza „Książę Albert odrzucający prośbę biskupa z Ypern o ułaskawienie Egmonta."

—Jedno z peryodycznych pism rossyjskich „Niwa" ma wkrótce drukować powieść historyczną p. Belsijewa, p. t. „Za Piotra Wielkiego." Ma to być, zdaniem recenzentów, praca znakomicie wykończona i nader interesująca, ze względu na epokę, którą maluje. Autor jéj oddawna już zaszczytnie znany publiczności czytającéj w Rossyi.

—Magister b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, p. Holewiński przygotował podobno na odczyt w Towarzystwie Dobroczynności rzecz p. t. „Dzieje alchemii." Dowiadujemy się obecnie, iż odczyty w sali Towarzystwa rozpoczną się jeszcze przed Bożém Narodzeniem.

—Termin konkursu dramatycznego w Krakowie, z funduszu hr. Łubińskiego i dyrekcyi teatru tamecznego, przedłużony został do 1 stycznia 1872 r.

—Występ piérwszy p. Rychtera na scenie krakowskiéj, miał być w roli Harpagona w „Skąpcu" Moliera. Na drugi zaś występ wybrał podobno p. Rychter komedyą „Trefniś."

—Dyrekcya sztuk pięknych w Paryżu poleciła kilku swoim malarzom wypracowanie widoków z ruin, spowodowanych barbarzyńską swawolą komuny. Fofografie z tych obrazów złożone będą w Muzeum Luwru. Piękna galerya!...

— Gospodarzom wiejskim wielką oddał przysługę p. Lewandowski, magister weterynaryi, broszurką swą „O hodowli zwierząt."

—P. Załęski, współpracownik „Ekonomisty," wydrukował w témże piśmie pracę swą pod napisem: „Statystyka porównawcza ludności i przemysłu m. Warszawy w 1869 — 1871."

—P. Kostrzewski wrócił z podróży swéj z nowemi wrażeniami, które odświéżyły bezwątpienia werwę humorystyczną naszego Gawarniego.

—Repertuar teatrów warszawskich ciągle się odświeża Publiczność tutejsza ma coraz nowe przysmaki estetyczne, to pod nazwą „Guzika,“ to znowu pod typowym tytułem „Żaków,“ wcale na ten raz nietypowych.

—W Krakowie wyszły z druku: 5-ta serya pracy p. Oskara Kolberga, p. t. *„Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce.* Dzieło to niezaprzeczoną ma wartość dla historyków i poetów Słowian. — *„Obrazki z podróży; Szwecya,“* przez barona Eageströma. Tudzież Towarzystwo naukowe w Krakowie wydało wykład bajek Krasickiego, pióra p. Gustawa Ehrenberga.

—Po powrocie p. Miller - Czechowskiéj usłyszemy arcydzieło Meyerbeera: „Prorok.“

—Wystawa sztuk pięknych w Krakowie zbogaconą została pięknym obrazem szkoły bizantyńskiéj: „Matka Boska.“

—Aleksander Dumas (syn) ma zająć w Akademii paryzkiéj miejsce hr. de Broglie.



POCZTA WIEJSKA W DANII. (str. 323).

—Od dni kilku przyjechał do Warszawy znany już tu pianista p. Szlötzer.

—Liszt ma podobno zawitać do Warszawy. Powołują go tu uczucia przyjaźni. Pracuje obecnie ten król pianistów nad wielką mszą do słów Lucyana Siemieńskiego.

OD DOZORUJĄCEGO NAD KOSZEM REDAKCYI.

Kochany Przeglądzie Tygodniowy! Mógłbyś też już, dalibóg, poprawić się nieco! Stęskniony do miłéj pogawędki z Tobą, czekałem jak zbawienia śród bibulastych szpalt Twoich, a raczéj—(bądźmy sprawiedliwi!)—śród Twoich *ech* warszawskich, kilku wierszy choć na tyle dobrze napisanych, aby po przeczytaniu ich zaswędziła mnie ręka do pióra i duch mi się wydął na jakikolwiek certamen z Tobą.. tymczasem — o niedołęgo w dowcipie i w złości! — czémże mnie częstujesz na ostatnie danie, cobym mógł, jako dzielny szermierz za honor Opiekuna Domowego, wrzucić z prawdziwym rozpędem i zamachem do *kosza*! Oto kilka wierszy tak mocno ckliwych i tak przekonywająco głu.. ach przepraszam! — że aż smutno mi teraz na sercu się robi, iż z tytułu szlachetnego stanowiska swego, za napadniętym przez ciebie za Hamleta, w ostatnim numerze, p. Aspisem, głos podnieść muszę. A muszę bo.. jestem do tego i bo Redakcya płaci mi za to. Słuchaj, mój dobrodzieju — przemawiam do troszki logiki, o którą cię przecież można jeszcze pedejrzewać i przemawiając do niéj, pytam: ażaliż jest sprawiedliwém i godném pisma chorującego na *czyściciela* ludzkości, aby chcąc jéj dać poznać, iż artykuł taki a taki nicwartym jest, wziąć z tego artykułu luźno i bez żadnego porządku z różnych miejsc poodrywane zdania lub wyrazy i ustawiwszy je potém obok siebie, a sensu naturalnie żadnego z nich nie złożywszy, krzyczéć: patrzcie co za absurd! słuchajcie, co za głupstwo!

Aby cię lepiéj o niedorzeczności twojéj przekonać, wezmę oto np. piérwszy lepszy artykuł ze szpalt twoich i zrobiwszy z nim to samo, coś ty z artykułem p. Aspisa zrobił, patrz jakie ładne zdanie w rezultacie z niego wykleję. „Przegląd“ (str. 200) „Tygodniowy“ (str. 200) „który“ (str. 201) „wszystkie“ (str. 211) „pisma“ (str. 298) „o“ (str. 558) „waryactwo“ (str. 204) „i“ (str. 212) „brak sensu“ (str. 300) „posądza“ (str. 210) “jest“ (str. 248) „sam“ (str. 209) „najbardziéj“ (str. 286) „waryackiém“ (str. 205) „i“ (str. 214) „najabsurdniejszém“ (str. 203) „pismem“ (str. 245) „na świecie“ (str. 213).

No cóż, przeczytałeś to zdanie i jakże ci się ono podoba?

Przegląd—pismem warjackiém!

Przegląd — pismem najabsurdniejszém!

Przegląd, który ja tak szanuję — tak czczę — tak poważam.. który „Opiekun“ nasz w krótce tak mocno chwalić w *prasie peryodycznéj* zamyśla!

A fi!

Powiedziałem.. czyli

Dixi.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 27 Сентября (9 Октября) 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,